

A. DAUDET

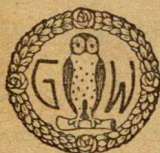
— • • —

KOZA OJCA BARTŁOMIEJA

ZE WSPOMNIENÍ KUROPATWY

PRZEKŁAD

J. CHRZĄSZCZEWSKIEJ



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1908



br. 33755

KOZA OJCA BARTŁOMIEJA.

Już to trzeba przyznać, że ojcu Bartłomiejowi nie szczęściło się z kozami.

Wszystkie mu jedną po drugiej zginęły.

A to w taki sposób:

Pewnego pięknego poranka zrywała koza sznur, na którym ją uwiązano, maszerowała w góry, a tam wilk ją zjadał.

Ta historia powtarzała się ciągle, bez zmiany.

Nic nie pomagało, nic nie mogło kóz w domu zatrzymać: ani pieszczoty pana, ani perswazje, ani strach przed wilkiem.

Widocznie były to jakieś bardzo swawolne kozy, którym się chciało swobody i górskiego powietrza za jakąbądź cenę.

Naturalnie, że ojciec Bartłomiej nic się nie znał na tych kozich pragnieniach.

Był poprostu przybity tem wszystkim i mówił sobie:

— Ha, trudno, niema na to rady, widocznie kozy nudzą się u mnie. Najlepiej zrobię, jeżeli już żadnej nigdy w życiu trzymać nie będę.

Tak powiedział, a postąpił przeciwnie, i straciwszy właśnie sześć kóz, kupił sobie siódmą. Tym razem jednak umyślnie wybrał młodziuteńką, żeby jej było łatwiej przyzwyczaić się do domu.

Niema co mówić, kózka ojca Bartłomieja była prześliczna.

Oczy jej patrzyły bardzo słodko i łagodnie, kopytka miała czarne i świejące, rogi całe pięknie pręgowane, a sierść taką miękką i długą, iście jak z jedwabiu.

A do tego wszystkiego Białochna, bo tak kózkę nazwano, miała i mnóstwo ukrytych przymiotów. I tak np. pozwalała się doić bardzo spokojnie... nie miała brzydkiego zwyczaju kładzenia nogi do niecki z mlekiem, nie bodła, nie była uparta...

Jednem słowem — prawdziwe cudo nie koza...

Tuż obok domu ojca Bartłomieja rozciągała się mała łączka, otoczona głogowym płotem. Ustroń prześliczna, a pachnąca, a świeża!

Tam więc ojciec Bartłomiej umieścił swoją nową pensjonarkę.

W najpiękniejszym miejscu na łączce wbił palik, do palika przymocował sznur długi, a do sznura uwiązał Białochnę.

I jeszcze czasami zaglądał, czy jej tam dobrze czy jej czego nie brakuje.

Było zupełnie dobrze. — Kózka skakała, szczypała trawkę, a ojciec Bartłomiej aż zacierał ręce z zadowolenia.

— Nareszcie — mówił — nareszcie znalazłem jedno rozsądne stworzenie, które umie ocenić moje starania i nie tęskni daremnie.

Niestety, ojciec Bartłomiej cieszył się zbyt wcześnie...

Przyszła godzina, w której Białochna poczuła tęsknotę.

Prostu spojrzała na góry, zielone u podnóża, omglone u szczytów i powiedziała sobie:

— Ach, jak tam musi być dobrze! To mi dopiero przyjemność skakać po wrzosach, gdzie dusza zapagnie, bez tego obrzydłego sznura na szyi. Taki osieł, czy wół mogą być na uwięzi, ale nie my, kozy. Nam powietrza, przestrzeni, swobody potrzeba!

I jak zaczęła sobie kózka przymawiać, tak od tej chwili wszystko jej zbrzydło. Trawa była niesmaczna, powietrze duszne...

A to dusiła ją tęsknica.

Aż litość brała patrzeć na biedną kózkę. Drepotało to biedactwo cały dzień z głową w stronę gór zwróconą i beczało żałośnie:

— Meee... meee... meee...

Ojciec Bartłomiej spostrzegł prędko, że się coś dziwnego z jego kozą stało, ale co, tego nie umiał odgadnąć.

Wreszcie jednego dnia po skończonym udaju — a mówiąc nawiasem, mleka tyle co nic było w skopku — zwróciła się Białochna do swojego pana i w swoim kozim języku tak się do niego odezwała:

— Ojczy Bartłomieju, posłuchajcie-no: puście mnie w góry, bo od tęsknoty uschnę wam do szczętu.

— O mój Boże! więc i ona taka sama jak i inne — zawołał staruszek.

Z przestachu aż upuścił skopek na ziemię, poczem usiadłszy na trawie przy swej kozie, spytał z wyrzutem:

— Białochno, i ty naprawdę chcesz mnie opuścić?

A koza odparła spokojnie:

— Zupełnie naprawdę, ojcze Bartłomieju.

— Może ci trawa nie smakuje?

— I owszem.

— Może sznur za krótki? Chcesz, podłużę go w jednej chwili.

— O, nie trudźcie się, ojcze Bartłomieju. Nie ma potrzeby...

— Więc coś ci, niewdzięcznico, brakuje? Wy tłumacz mi! Niechże to wiem przynajmniej.

— Chcę pobiedz tam w góry.

— W góry! Wielki Boże! Ależ nieszczęśliwa, czyż nie wiesz, że w górach przebywa wilk żarłoczny? Co zrobisz, gdy na ciebie napadnie?

— A cóż, będę się broniła. Niby-to nie mam rogów...

— Akurat też wilk dba o twoje rogi! Ho! ho! nie z takimi jak ty umiał on sobie poradzić. Czy pamiętasz tę starą kozę Łyską? Mocne to było jak kozieł, a złe, a wytrzymałe — jednakże zmogło ją wilczyisko. Wprawdzie broniła się przez całą noc, ale na to tylko, żeby rankiem dostać się pod wilcze zęby.

— Doprawdy? To smutne. Biedna Łyska! żal mi jej bardzo. Lecz mniejsza o to. Ojcze Bartłomieju, puśćcie mnie w góry!

— Jeszcze to samo!... — zawołał ojciec Bartło-

miej. — Ależ co się z wami dzieje, moje kozy? Głowy potraciłyście! I znowu teraz jedną mam wydać na pastwę wilkowi! Nie, ani myślę. Otóż słuchaj, mały urwisie, ocalę cię mimo twej woli: ponieważ sznurek dla waćpanny za krótki, bardzo dobrze, zamknę cię w stajence, i nawet nosa za drzwi nie wysuniesz.

Co powiedziano, to i zrobiono.

Ojciec Bartłomiej zaprowadził kózkę do stajni i drzwi aż na dwa spusty zarygłował.

Zarygłował drzwi, ale zapomniał o oknie, więc nasza kózka, skoro tylko została sama, szust przez okno w pole i dalej uciekać.

W górach czekało ją uroczyste przyjęcie.

Zupełnie jakby była jaką małą królewną.

Kasztany schylały gałęzie aż ku ziemi, by młodego gościa upieścić, złociste i purpurowe kwiaty wysyłały ku niej najpiękniejsze wonie, a stare jodły z radości szemrały wesoło.

Bo też rzeczywiście, jak las lasem, nie widziano w nim jeszcze równie uroczej kózki.

I nie tylko las — wszystkie góry również ją witały.

A ona sama jakże była szczęśliwa! Precz z palikiem! Precz z nienawistnym sznurem!

Tu już nic w skokach nie przeszkadza, tu można robić wszystko, co kózce na myśl przyjdzie.

A co trawy, co trawy! Bez żartów — wyżej głowy, wyżej rogów nawet.

I jaka to trawa! Proszę-no popatrzeć? Soczysta, delikatna, a wycinana w ząbeczki.

Tamta trawa z łączki poza domem ani umywa się do niej nawet!

I przytem co tu kwiatów!

Liljowe dzwonki, purpurowe naparstnice i innych moc ogromna, a pachną — aż dusi poprostu.

To też Białochna nawpół upoiła się tem wszystkim i zaczęła dokazywać, dokazywać!

Więc jużto tarzała się po trawie, jużto zbiegała z górki na pazurki, na wyścigi ze spadłymi z drzew kasztanami i uschłymi liśćmi.

Potem nagle, ni stąd ni zowąd, hop! i już jest na wszystkich czterech nogach, już pędzi naprzód przez krzaki, przez zarośla, z wzgórków w dolinę, z doliny pod górę. To tu, to tam widać ją niemal w tej samej chwili. Zdaje się, jak gdyby nie jedna, lecz dziesięć kóz uciekło w góry.

Zuch był z Białochny, zuch, co się nazywa!

Nic jej tam w drodze zatrzymać nie mogło.

Trafił się potok... to i cóż? — Wielka mi rzecz, przeskoczy go jak nic, a jak woda obryzga, to kózka położy się na słońcu i wysuszy aż miło...

Wielka mi rzecz potok! Wielka mi rzecz kamienie!

Nagle podczas tych figlów i skoków spojrzała Białochna w dół, daleko.

— O jej! o jej! cóż to tam widać w głębi?

To domek ojca Bartłomieja i półko, głogowym płotem ogrodzone.

— Ha! ha! ha! jakie to nędzne, jakie małe! I ja tam żyłam, i ja tam mogłam choć godzinę wytrzymać!

Do łez uśmieła się Białochna ze swego nierozumu.

Biedactwo dlatego, że stało na wierzchołku góry, sądziło, iż samo jest co najmniej jak góra wielkie.

Bez żadnej przesady można jednak powiedzieć, że Białochna wybornie się bawiła. Nawet towarzystwa jej nie zabrakło.

Mniej więcej po południu spotkała się ze stadem dużych kozic górskich, które właśnie na obiad zjadały trawę.

Mały gość w białej sukience podobał się ogólnie. Oddano mu zaraz miejsce poczesne, tam gdzie najgęstsza trawa rosła.

Nagle powiał jakiś wietrzyk chłodny.

Liljowe obłoki zaczęły owijać góry. Nadszedł wieczór.

Zdziwiło to kózkę niepomierne.

— Jakto, już! — zawołała. — Tak prędko!

A tam niżej pola już we mgle nikły, z domku ojca Bartłomieja widać było tylko dach czarny i cieką smugę dymu.

Zewsząd dochodziły brzęki dzwoneczków. To trzody wracały na noc do domu.

Białochna posmutniała, dreszcz przeszedł ją całą, a serduszko, przed chwilą wesołe jeszcze, ścisnęła trwoga.

Wtem jastrząb, przelatując nisko, musnął ją skrzydłem i zaraz potem złowieszczy, przeciągły skowyt rozległ się w górach.

— Huuu... huuu...

— To wilk — pomyślała kózka.

Jednocześnie z tem ozwał się głos trąbki.

Dobry ojciec Bartłomiej nawoływał zbłąkaną kózkę do domu.

— Huuu... huuu... — wyło wilczysko coraz bliżej.

— Wróć się! Wróć do domu! — szły odgłosy z doliny.

Białochna zawahała się. — Pozostać, czy wrócić?

Zawahała... i zaraz stanął jej na myśli palik w pośrodku łąki i sznur i płot głógowy i stajenka ciemna... i zaraz pomyślała... że już teraz nie mogłaby za nic, za nic w świecie do takiego życia powrócić i że musi zostać koniecznie.

Trąbka umilkła, lecz obok zaszeleściały krzaki.

Białochna odwróciła się.

Tuż przy niej w cieniu zapadającej nocy... błyszczą oczu dwoje... płomienistych, krwawych, nad niemi sterczą uszy... a niżej wysuwa się paszcza i zęby takie białe, takie długie...

To wilk...

Przysiadł na tylnych nogach i nieruchomy, straszny przygląda się biednej kóźce, przygląda, oblizuje wielkim, czerwonym językiem, zupełnie jak gdyby już ją w myśli smakował.

Nie spieszy się wcale wilkowi: wie on, że prędzej czy później kóźka paść musi, więc teraz jeszcze naśmiewa się i szydzi ze swej ofiary.

— Ha! ha! jak się mamy, kóźko ojca Bartłomieja? Jak się mamy?

A w kóźce serce ze strachu dygoce. Rozumie ona doskonale, że jej ostatnia godzina nadeszła.

Przypomina sobie biedną Łyskę, która na to tylko noc całą bronila się, by zostać zwyciężoną o świecie, i myśli, że może lepiej zginąć odrazu.

Ale nie, to wstyd przecie ginąć bez obrony! Białochna wybiera walkę. Opiera się mocno na nogach, pochyla głowę i nadstawia rogi. Ani nawet przez myśl jej nie przechodzi, iż mogłaby zabić napastnika.

Jeszcze nigdy takiego zdarzenia na świecie nie było, by koza zwyciężyła wilka, ale chciałaby tylko przekonać się, czy będzie mogła bronić się tak długo, jak Łyska. Prosta ciekawość, nic więcej.

Walka się zaczęła.

O, mała, odważna kózka — jakże się ona dzielnie bronić umiała!

Przynajmniej z dziesięć razy wilk musiał rejterować przed tymi groźnymi rogami, co tu i tam jak błyskawica szybkie weń godziły.

Zmęczone wilczyisko odpoczywało co chwila, a kózka tymczasem od niechcienia skubała sobie trawę.

Tak schodziła im cicha noc letnia...

Tylko od czasu do czasu Białochna podnosiła głowę i patrzyła na gwiazdy.

— Jak się też one świecą!... czy nie bledną już? Czy do świtu jeszcze daleko?

I mówiła sobie:

— Bylebym tylko do dnia wytrzymała...

Jedna po drugiej znikwały gwiazdy... wilk nacierał coraz zajadlej, ale Białochna nie ustępowała. Za każde szarpnięcie zębem szło uderzenie rogami.

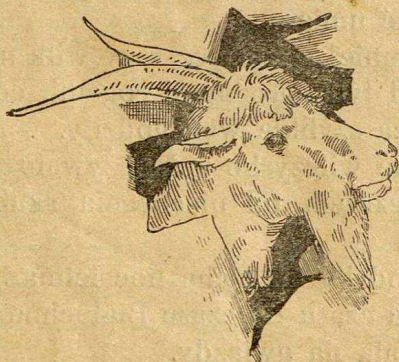
Gdzieś na wschodzie niebo zaczęło blednąć,
i kogut zapiał na folwarku.

— Nareszcie — szepnęła biedna, udręczona
kózka.

Oczekiwała dnia z utęsknieniem, by umrzeć
godnie, więc teraz, gdy zaświtał, nie broniła się
dłużej... i padła na ziemię, zaróżowioną blaskami
utrzenki... sama też od krwi własnej różowa...

Wtedy wilk rzucił się na swą ofiarę.

.....



ZE WSPOMNIENIŃ KUROPATWY.

Wiadomo jest wszystkim, że kuropatwy w pojedynkę nie chodzą. Trzyma się to stadami, gnieździ po brózdach, pod krzakiem, przy najlżejszem niebezpieczeństwie podlatując w górę, niby garść ziarenek, ręką siewcy rzucona.

Nasza gromadka była liczna i wesoła. Mieszkaliśmy na samym skraju wielkiego lasu, mając pod bokiem i spiżarnię i ochronę w razie potrzeby.

To też skoro już wyrosłem, a opierzyłem się, nieźle mi było żyć na świecie, zwłaszcza gdy nie czuło się głodu.

Jednakże pewna troska mąciła nieco mój spokój.

Stare babunie i matki ciągle poszeptywały między sobą o pierwszym dniu polowania, a poszeptując, wzdychały boleśnie.

— To pewnie musi być coś strasznego? — spytałem.

A na to jeden z naszej gromadki, stary bywalec, odpowiedział mi:

— Słuchaj-no, Rudek... — tak mię zwano z racji mego dzioba i piór na łapkach, koloru uschłej

jarzębiny. — Nie bój się, nie bój się, Rudek. Już ja cię wezmę pod swoją opiekę, skoro ten straszny dzień nastąpi. Przy mnie nic ci się złego nie stanie.

Mój opiekun był to wytrawny kogut, co prawda stary już, ale dziarski i zuchowaty, mimo podkówki na piersiach i siwizny, co mu gdzieniegdzie grzbiet poznać było.

Podobno w młodych latach jakaś loftka¹⁾ uwięzła mu pod skrzydłem, to też tak zatył i ocieżał, że zanim raz jeden podleci, dziesięć razy ogląda się i namyśla.

Ale na roztropności nie zbywa mu za to, z każdej biedy doskonale umie się wykręcić.

Bardzo często chodziliśmy razem na brzeg lasu. Stał tam jakiś dziwny domek, wciśnięty między kasztany, — domek cichy, jak opuszczona nora — z rzędem okien, szczelnie zamkniętych.

— Patrz-no, patrz, mówił stary kogut, a miarkuj, co ci powiem: — kiedy nad tym dachem zakołysze się kita dymu, i okna blaskami zaświecą, wtedy z nami źle będzie.

Nie zrozumiałem ja wprawdzie tego dobrze, bo kogut, jak zresztą wszystkie wielkie osoby, nie chciał się wdawać w żadne tłumaczenia. Ale nic to jednak nie zmniejszyło mojej weń ufności.

Dla takiego bywalca czy to polowanie pierwszyna, czy co?

Aż tu raz o samym świcie słyszę przyciszone wołanie:

— Rudek, Rudek!

¹⁾ Loftki — małe kulki.

● Patrzą... stary kogut stoi przy mnie, ale jakoś niezwykle wygląda.

— Chodź-no, chodź — szepce.

— Dokąd ?

— Nie pytaj, a idź za mną i rób to, co ja robię.

Poszliśmy. Wpół senny i zestrachany przemykałem się jak mysz między grudami ziemi. Łatanie lub choćby skoki ani powstały mi wówczas w głowie.

Zwróciliśmy się ku lasowi i wtedy zobaczyłem, iż nad dachem małego domku trzęsie się kita dymu, z okien blask bije, a przed otwartymi drzwiami tłoczą się gromady strzelców i cisną psy gończe.

Właśnie kiedy zbliżaliśmy się, jeden ze strzelców powiada:

— Wiecie co? Zaczniemy od pola. Po śniadaniu pójdziemy do lasu.

Zrozumiałem teraz mądrą taktykę mojego opiekuna, wiedziałem, dlaczego prowadził mnie między drzewa. O sobie byłem nibyto przez pół spokojny, jednakże serce drżało mi w piersiach na myśl, co się tam dzieje z resztą naszej gromadki.

Już, już mieliśmy wchodzić do lasu, aż tu jak nie skoczą psy w naszą stronę, jak nie zaczną węszyć.

— Plackiem na ziemię! Prędszej, plackiem na ziemię! — krzyknął stary, przysiadając w brózdzie.

Wtem tuż przed nami, o jakie dziesięć kroków najdalej, śliczna przepiórka porwała się z ziemi.

Biedactwo otworzyło dziobek i podleciało wgórę, próbując ucieczki.

Ale gdzie tam...

Rozległ się huk straszny, obłok gorącego i białego dymu otoczył nas zewsząd... dziwny zapach rozszedł się dokoła.

Pode mną zdrętwiały nogi... ani rusz nie mogłem uciekać... Szczęściem las był bliźniutko, więc się jakoś dowlekliśmy.

Mój towarzysz umieścił się za dużym dębem, a ja naturalnie tuż obok niego, i tak siedzieliśmy we dwóch, patrząc przez liście na to, co się działo.

Działy się rzeczy straszne.

Tam w polu kanonada¹⁾ nie ustawała ani na chwilę. Każdy wystrzał odbierał mi przytomność; zamykałem wtedy oczy, by otworzywszy je, ujrzeć ten wielki nagi rozłóg²⁾, pełen psów, to przebiegających go z rozpędem, to kręcących się na miejscu w szalonym jakimś wirze.

Za nimi śpieszyli strzelcy, błyszczały fuzje w blaskach słońca, rozlegał się huk, rozbrzmiewały przekleństwa i wołania, rozwiewały szmaty skłębionego dymu.

Raz w chwili, gdy się taki obłok rozplynał przede mną, zdawało mi się, iż widziałem w nim jak gdyby garście spadających liści. A przecież drzewa nigdzie ani dojrzeć nawet!

Mój towarzysz powiedział mi wtedy, że to były pióra, strzałem z piersi ptaka wydarte.

I rzeczywiście w sekundę później śliczna

¹⁾ Kanonada — strzelanie.

²⁾ Rozłóg — szeroki kawał równej ziemi.

szara kuropatwa padła na ziemię, znacząc ją krwawą smugą, płynącą z roztrzaskanej głowy.

Kiedy już słońce stanęło wysoko na niebie i żarem sypać poczęło, kanonada ustała.

Strzelcy wracali do domu, gdzie ich wesołe czekało ognisko. Humor dopisywał wszystkim wi docznie, bo rozmowa szła żywo, pełna gestów, okrzyków, zapytań.

A tuż obok panów biegły psy zziajane, z ozorem wywieszonym z paszczęki.

— Strzelcy będą teraz jedli śniadanie — powiedział mój towarzysz. — Chodźmy też posilić się trochę.

Akurat pole z tatarką było tuż bliziutko. Pole całe w kwiatach i ziarnach, a pachnące migdałami, a przestronie.

Zastaliśmy tam kilka bażantów w mieniących strojach. Spuściło teraz to państwo z tonu — oj, spuściło, przestało zadzierać czuba do góry!

I nic dziwnego — strach nie pyta, kogo chwyci: bażanta, czy wróbla.

— Co słyhać na świecie? Nie zabito tam którego z naszych? — pytały się bażanty.

Tymczasem śniadanie strzelców z początku milczące, ożywiało się coraz bardziej.

Korki strzelały z butelek — szkło brzęczało.

— Oho — odezwał się mój stary — uczta się już kończy, to i nam czas pomyśleć o sobie.

Wróciliśmy zatem do dawnego schroniska.

Las w ciszy. południa zdawał się uśpiony.

Żadne, by najłżejsze trącenie nie przerywało



spokoju małego jeziora, gdzie zwykle sarny przychodziły gasić pragnienie.

W kępach macierzanek cisza — ani jeden pyszczek króliczy nie wysuwa się z poza liści.

Czyżby wszyscy spali?

O nie! Bynajmniej.

Jakieś tajemnicze drganie przebiega las cały — zda się, że poza liściem każdym, poza każdą mchu kępą, zdźbłem trawy, kryje się czyjeś życie zagrożone.

O! mają ci mieszkańcy lasu swoje schroniska przeróżne — nory, kotliny, haszcze, gęstwinę krzaków, pęki chróstu i te drobne jamy i wyrwy leśne, które deszcz każdy w jeziora zamienia.

Wyznaję otwarcie, że w owej chwili pragnąłem gorąco leżeć sobie wygodnie w takiej jamie, lecz mój towarzysz przeciwnego był zdania.

Jemu trzeba było przestrzeni, powietrza, a przede wszystkim zupełnej świadomości nieprzyjacielskich ruchów.

I miał słuszość zupełną, bo właśnie strzelcy wkroczyli do lasu.

Oh, ten pierwszy wystrzał, siekający liście na drzewach, niby grad kwietniowy, i strącający kawałki kory! Nie zapomnę go nigdy... nigdy! Trafiony ołowiem królik jakiś padł na środku drogi i drapiąc pazurami ziemię, konał w konwulsjach przedśmiertnych.

Ruda wiewiórka niby kula stoczyła się z gęstwiny kasztana, strącając w swym upadku jeszcze zielone owoce. Ten straszny wystrzał obudził wszystko, co żyło i spało w lesie...

Bażanty podniosły się ciężkim lotem z gęstwiny opuszczonych ku ziemi gałęzi.

Jakaś rozbudzona sowa wypadła z dziupli i oślepią blaskiem słońca, biła skrzydłami o drzewo, za którym siedzieliśmy ukryci.

Małe szczury leśne uciekały w głębie swych nór ciemnych.

Ważki o modrych skrzydłach, duże bąki, lekkie motyle, cały drobiazg skrzydlaty latał w szalonej trwodze, ratując zagrożone życie.

Tuż przy mnie siadł jakiś maluchny, błyszczący jak złoto chrabąszczyk, siadł niepomny niebezpieczeństwa... ale czyż w takiej chwili mogłem myśleć o jedzeniu?

Zresztą — ktoby z ufności lub trwogi korzystał?

Tymczasem mój staruszek nic a nic swego spokoju nie tracił.

Nadstawiał tylko uszu na szczenie psów, na wystrzały strzelców, a gdy się ten harmider zbliżał do nas, kiwał na mnie i ruszaliśmy dalej.

Ale raz myślałem, że już nasza ostatnia wybiła godzina.

Dwóch strzelców stało z obu stron drogi, którą przejść musieliśmy koniecznie.

Jeden wysoki, z wielkimi czarnymi faworytami i tak obwieszony różną bronią, że za każdym ruchem dźwięczało to wszystko na nim, jak stare żelastwo.

Niczego tam nie brakło. I fuzja, i nóż, i worek z kulami, i ładownica, że już pomnę milcze-

niem olbrzymie kamasze, które mu także powagi dodawały.

Był to prawdziwy rycerz.

A z przeciwnej strony stał sobie jakiś staruszek chudy i wyschły.

Oparł się o drzewo i palił fajkę, mrugając powiekami, jak gdyby mu się na sen zbierało.

— No — myślę sobie — takiego to niema co się obawiać, tamten wielkolud to co innego...

Ale mój opiekun powiada:

— Eh, Rudek, co ty tam rozumiesz!...

I prosto, jak strzelił, rusza na tego rycerza. Przesunęliśmy mu się przed samemi nogami.

I nic... zanim mój olbrzym spostrzegł się, zanim złożył, a wycelował, my już byliśmy daleko.

Miał on co prawda dość do roboty ze swoją pięknie wystrojoną osobą, ze swymi przyborami myśliwskimi, żeby jeszcze myśleć o kuropatwach.

Ach, wy myśliwi, wy myśliwi! Gdybyście wiedzieli, ile to oczu podgląda was z poza krzaków, liści, gałązek, właśnie wtedy, kiedy sądzicie, że jesteście zupełnie sami! Ile to małych dziobków i pyszczków wstrzymuje się od śmiechu z waszej niezręczności...

Tak więc umykaliśmy ciągle przed pogonią.

Rozumie się, że ja nie miałem nic lepszego do roboty, jak tylko kubek w kubek naśladować mego opiekuna.

Przysiadł on — i ja przysiadłem, poruszył skrzydłami — i moje drgnęły.

Ach, pamiętam doskonale ten dzień straszny, pamiętam te miejsca, które przebywaliśmy.

Widzę ów wzgórek, różowym wrzosem porosły: to państwo królików...

Ściana wysokich dębów ochraniała wzgórek od południowych żarów, ale dziś poza tą ścianą śmierć się czaiła... śmierć okrutna.

I widzę znowu tę ścieżynkę leśną, gdzie mateczka nasza prowadziła swój drobiazg w słoneczne ranki majowe, a my, szczęśliwi — smutku jeszcze nieświadomi, wskokach chwytałiśmy mrówki czerwone, lub wiedli długie, niekończące się swary, z pyszniącymi się swą urodą i strojem bażantami.

W owe czasy my, kuropatwy, byliśmy dla nich nieodpowiedniem towarzystwem!

O tak! Stoisz wyraźnie przed oczyma memi ty drożyno zielona, stoisz w chwili, gdy lekka łania przebiegała cię w podskokach. Za nią dążyły inne, by wodą z małego jeziorka ugasić pragnienie, a potem rzucać na siebie perłami kropelek świetlistych...

W pośrodku jeziorka wznosiła się maleńka wysepka — taki sobie bukiet olch, rzucony na wodę.

W ten gąszcz schroniliśmy się na koniec.

— No, już tutaj chyba psy nas nie wynajdą — myślałem.

W minutę po naszym przybyciu rozdarła się ściana z gałęzi i raniona sarna zwolna, utykając co chwila, zbliżyła się do wody. Poza nią na mchach zielonych kładła się krwi struga.

Był to widok tak bolesny, że nie chcąc nań patrzeć, ukryłem głowę pod skrzydła, ale mimo to wciąż dobiegał mnie oddech dyszącego z gorączki

zwierzęcia, które palone pragnieniem, piło chciwie... długo...

Dzień schodził powoli. Wystrzały oddalały się... stawały coraz rzadsze.

Wreszcie wszystko ucichło.

Był to koniec polowania.

Wtedy uspokojeni trochę, zawróciliśmy na pole, aby dowiedzieć się o losie towarzyszy.

Mijając domek myśliwski, ujrzałem widok straszny!

Ponad rowem przy drodze, ułożone jedna obok drugiej, leżały ofiary...

Śmierć porównała i zmieszała wszystkich: rude zające i małe szare króliki.

Och, te łapki, ułożone jak gdyby w prośbie błagalnej, te oczy mgłą śmierci niby lżą zasnutel...

A ptaki!...

Kuropatwy szare, rude, te poprzone siwizną, tamte z puchowiem na piersiach jeszcze!

Czy jest co smutniejszego nad martwą ptaszynę, nad skrzydła bez siły do lotu?

Skrzydła — to ruch!... to życie!

A teraz to życie im wydarto... więc zwisły bezsilne... zdretniały...

Z boku, uśpiona niby, leżała sarna.

W zgasłych oczach był spokój... różowy języczek zdawał się poruszać jeszcze.

A nad tą rzeźnią okrutną stali myśliwi, licząc, ciągnąc, przytwierdzając do swych torb krwawe trofea¹⁾.

¹⁾ Trofea — łupy, zdobycz, oznaki zwycięstwa.

Stali bez litości dla tych skrzydeł rozdartych, dla tych nóg zeszywniałych... bez litości dla tych ran, krwią ociekających.

Obok psiarnia, na smyczę już ujęta, drżała, jakby gotując się do nowych skoków, do nowej gonitwy.

I kiedy w blaskach gasnącego słońca uchodzili strzelcy, kiedy za nimi na skibach ziemi kładły się ich cienie wydłużone... och, jakże ja nienawidziłem w tej chwili, jak przeklinałem ich wszystkich... ludzi i zwierzęta, tych wrogów i katów naszych! Z przerażenia głos zamarł nam w piersi i milcząc, pełni grozy, żegnaliśmy dzień gasnący.

Smutny był nasz powrót. — Po drodze spotykaliśmy wciąż nowe ofiary, o których nikt nie wiedział nawet.

Leżały one tam, z głową zanurzoną w pyłe przydrożnym... leżały porzucone na pastwę mrówek... szczurów... robactwa...

Wesołe sroczki, czarne jaskółki, zabite w locie padły, wyciągając zeszywniałe teraz, a przed chwilą pełne jeszcze życia członki ku nocy, co obojętna i spokojna, zstępowała zwolna, rzucając na nie swój płaszcz mglisty.

Lecz to nie było jeszcze najokropniejsze, najboleśniejse ze wszystkiego!

Z nadejściem cieniów po skrajach lasu, po brzegach łąki, tam dalej w oczeretach nad rzeką, ozwały się ciche, nieśmiałe nawoływania, pełne trwogi i niepokoju.

Ale żadne, nawet najsłabsze nie odpowiedziało im echo...



Biblioteka Gł. UPH Siedlce
nr inw.: BR - 33755



br.33755